Na okaz!

Rocznik V. Kraków w styczniu 1902. Numer 1.

SKARBNICA

pismo popularno-naukowe i powieściowe

wychodzi raz na miesiąc, około dnia 1-go.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny:
Ks. Marceli Dziurzyński.

KRAKÓW.
Nakładem wydawnictwa »Skarbnicy«.
Czcionkami Nowej drukarni Jagiellońskiej.
1902.

Słowo do Szan. Czytelników.

Po krótkiej przerwie wznawiamy wydawnictwo **„Skarbnicy"** i rozpoczynamy **rocznik piąty.** Numer ten, t. j. pierwszy rocznika piątego, przesyłamy na okaz, ale następny numer **tylko ci otrzymają,** którzy **jak najrychlej** nadeszlą prenumeratę.

Na razie ma *Skarbnica* 16 kartek, czyli 32 stronice druku, gdy jednak zgłosi się znaczniejsza liczba prenumeratorów, to natychmiast **powiększymy** objętość każdego numeru, a nadto damy też i więcej rycin, czyli obrazków.

Prosimy wszystkich Szan Czytelników o rozszerzanie tego pisma między znajomymi i zachęcanie ich do prenumeraty.

Ponieważ z pewnych przyczyn opóźnił się ten numer, przeto i następny nie wyjdzie jeszcze koło 1-go lutego, ale dopiero koło 10 lub 15 lutego. Wszystkie atoli dalsze zeszyty *Skarbnicy* wychodzić będą regularnie koło 1-go dnia w miesiącu.

Na kredyt nikomu *Skarbnicy* przesyłać nie będziemy, bo nie możemy, więc kto chce mieć to pismo, to jest, kto chce otrzymywać dalsze zeszyty *Skarbnicy*, **niech zaraz** nadeszle prenumeratę!

Wydawnictwo Skarbnicy.

Prośba z Kalwaryi Zebrzydowskiej!

Kalwarya Zebrzydowska, słynna z dróżek Pana Jezusa i Matki Bożej w obrazie cudownym ukoronowanej, ma obchodzić w roku bieżącym 1902 trzechsetletnią rocznicę swego założenia.

Jako przełożony Kalwaryi, ufny w pomoc Bożą i ludzką, pragnąłbym na ten Jubileusz Kalwaryjskie dróżki zewnątrz tak jak i wewnątrz przyozdobić; nadto kościół główny chciałbym pokryć ogniotrwale. Więc odzywam się do serc litościwych imieniem Jezusa i Maryi o pomoc do przeprowadzenia tego dzieła wielkiego.

Kto poszle jako ofiarę co najmniej **2** korony, mieć będzie udział w Mszach św. co niedzielę za Dobrodziejów na Kalwaryi odprawianych (52 Mszy św. co roku za życia i po śmierci); nadto otrzyma na pamiątkę pocztą **kopię Obrazu cudownego** Najśw. Maryi Panny Kalwaryjskiej.

Adresować należy:

X. Stefan Podworski, przełożony klasztoru,
Kalwarya Zebrzydowska (Austrya, Galicya).

Rocznik V. Kraków 1 stycznia 1902. Numer 1.

SKARBNICA

PISMO POŚWIĘCONE NAUCE, POWIEŚCIOM I SPRAWOM SPOŁECZNYM

wychodzi **raz** w miesiącu około dnia 1-go.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Marceli Dziurzyński.

„Skarbnica“ kosztuje w prenumeracie:

w **Austryi** rocznie: **3 korony**; półrocznie: **1 korona i 50 hal.** — Do **Niemiec** rocznie: **3 marki.** — Do **Ameryki** rocznie: **1 dolar.**

Adres do przesyłania przedpłaty:

Redakcya „Skarbnicy“ w Krakowie, ulica Czysta L. 12.

Kilka uwag o socyalizmie

a zwłaszcza o głównych przyczynach jego rozwoju.

Przed 30 laty nikt nie słyszał, u nas przynajmniej, o socyalistach. Lecz jakże się zmieniły stosunki! Dziś stanowią socyaliści, albo jak się sami zwać zwykli, socyalni-demokraci partyę dość silną, dobrze zorganizowaną, z którą społeczeństwo i rząd liczyć się muszą.

Nowinki socyalistyczne, to jest nauki socyalistyczne przyszły do nas z Zachodu; ztamtąd też otrzymują poparcie, a natrafiając w klasie robotniczej na grunt podatny, szerzą się gwałtownie, zataczając coraz szersze kręgi.

Ruch socyalno-demokratyczny lekceważony z początku, nie miał skutecznej zapory i wskutek tego spotężniał. Społeczeństwo nie wystąpiło z nim do walki, jak powinno, chociaż wszyscy wiedzieli i wiedzą, że nauki socyalistyczne grożą zagładą obecnemu społeczeństwu, względnie jego ustrojowi, i dążą do zupełnego przewrotu, bezwarunkowo nie na lepsze.

Dzisiejszemu ustrojowi społecznemu zarzucają socyaliści przedewszystkiem nierówność posiada-

nia, i idącą ztąd nierówność używania życia. Z jednej strony — mówią oni — widzi się nagromadzone bogactwa w rękach szczęśliwców, widzi się u nich życie bez troski i pracy, w zbytkach i rozkoszach, z drugiej zaś strony mamy ludzi ciężko pracujących, nie wynagradzanych należycie i sprawiedliwie za ciężką swą pracę, lecz przeciwnie sromotnie wyzyskiwanych przez bogaczy. A przecie wszyscy są ludźmi, i jako tacy, mają równe prawo do życia i jego uciech.

Otóż tę właśnie nierówność między ludźmi, chcą niby umorzyć socyaliści i zrównać wszystkich ludzi pod każdym względem, oraz zapewnić im życie bez troski.

Nic przeto dziwnego, że zwłaszcza robotnik, ciężko pracujący na kawałek chleba dla siebie i swej rodziny, słysząc o takich obietnicach i wierząc w przyobiecaną lepszą przyszłość, jeżeli nie dla siebie to dla swego potomstwa, idzie na oślep za socyalistami i nie badając, nie zastanawiając się, czy te obietnice są możliwe do spełnienia, zapisuje się w szeregi socyalistów.

Prócz tego są jeszcze i inne okoliczności, które sprzyjają rozwojowi socyalizmu.

Przedewszystkiem osłabienie wiary i ducha religijnego w społeczeństwie, odgrywa tu może najważniejszą rolę, czyli najwięcej może pomaga wzrostowi socyalizmu.

Nad osłabieniem zaś wiary, Kościoła i jego sług pracują od wieków wrogowie nauki Chrystusowej! Najpierw państwa, względnie rządy państw, widząc jaką potęgą moralną jest Kościół, zaczęły tę potęgę wyzyskiwać dla swoich celów i osłabiać jego powagę, aby w ten sposób uczynić z Kościoła powolną sobie sługę.

Za państwami poszli pojedyńczy ludzie, bo w ludzkiej leży naturze krytykowanie wszelkiej powagi.

Masoni, liberali, a obecnie socyalni-demokraci podali sobie ręce do niegodziwej roboty nad osłabieniem religii i sprowadzili dzisiejszą obojętność religijną tak w klasie inteligencyi, jako i u dołu wśród rzeszy robotników.

Głęboka wiara znikła u wielu, a jej miejsce zajęła obojętność i chęć używania życia za wszelką cenę. Mamy wprawdzie wielu chrześcijan z imienia, prawdziwych jednak chrześcijan jest stosunkowo niewielu.

Gdzie zaś niema wiary w życie po śmierci, gdzie niema nadziei w nagrodę po za grobem i obawy przed karą, tam musi przyjąć się socyalizm, który obiecuje raj na ziemi zaraz, a nie w przyszłem życiu.

Socyaliści wiedzą dobrze, że głównym ich wrogiem jest Kościół katolicki, że dopóki ten Kościół posiadać będzie jaką taką powagę, i dopóki ludzie wierzyć będą w życie pozagrobowe, tak długo dla nich odwlekać się będzie godzina zwycięstwa, dlatego wszelkiemi siłami starają się Kościół ten zwalczać, i osłabiać jego powagę, wyśmiewając lub przekręcając jego nauki i obrzucając oszczerstwami jego sługi.

Zdawałoby się, że skoro o zgubności socyalizmu przekonani są wszyscy, to wszyscy powinni się złączyć do jego zwalczania i do obrony zagrożonego ładu społecznego.

A przecież tak nie jest. Przypatrzmy się np. parlamentom europejskim. Wszędzie ścierają się między sobą w zażartej walce różne stronnictwa, które w stronniczem zacietrzewieniu nie patrzą na główne niebezpieczeństwo, czyli przeoczają takowe i z zawiści przeszkadzają sobie w zwalczaniu socyalizmu. To, co się dzieje w parlamentach, to samo dzieje się osobno po za parlamentem w poszczególnych krajach, i to jest dalsza okoliczność sprzyjająca soacyalistom.

W skutek takich sprzyjających warunków, ogarnia socyalizm coraz szersze koła. Najlepiej pokazuje się to na stosunkach w Niemczech. W roku 1871 oddano tam na kandydatów socyalistycznych do parlamentu 101 tysięcy głosów, w roku zaś 1887, oddano już blisko półtora miliona głosów.

Główną bronią socyalistów są gazety nadzwyczaj ruchliwe. Setki tysięcy tych gazet rozchodzą się codzień w różnych językach, a czytają je miliony ludzi, którzy nie mając głębszej oświaty, wierzą ślepo we wszystko, co w nich napisane.

Sposób redagowania gazet socyalistycznych ma na celu nie oświatę, ale jedynie propagandę — to jest zjednywanie czytelników dla socyalizmu. Więc naprzykład nędzę u robotnika — a nędza zawsze i wszędzie się znajdzie — przedstawiają pisma socyalistyczne w najczarniejszych kolorach, nie pytając, czy ta nędza zasłużona, i gdzie jej przyczyna. Wmawiają w czytelników, że nędza i głód to tylko ich udział, a z drugiej

strony przeciwstawiają zbytek i rozkosze, w których nurzają się bogacze.

Czasem te opisy są prawdziwe, zwykle jednak przesadzone, a oszczerstwo i kłamstwo to zwykła broń socyalistów. Z lubością opowiadają gazety socyalistyczne o wypadkach dumy, wyzysku i niesprawiedliwości ze strony bogaczy lub dygnitarzy państwowych, albo kościelnych, a choć to czyste oszczerstwo, lub fakt przekręcony — to nic dla nich nie szkodzi; za oszczerstwo odsiedzi redaktor socyalistyczny parę dni aresztu, z którym zwykle jest dobrze obeznany, a oszczerstwo i kłamstwo zrobią swoje.

Pojedyncze wypadki wyzysku lub nadużycia jakiegoś, popełnionego przez jednę osobę, rozciągają pisma socyalistyczne na cały stan, do której owa osoba należy i głoszą rzeszy pracującej, że obecny ustrój społeczny popiera jeno bogaczów, że państwo i Kościół usiłują tylko ciemiężyć i wyzyskiwać robotnika, który przy ciężkiej pracy przymiera razem z rodziną z głodu, podczas gdy bogacze kosztem jego pracy opływają we wszystkie dostatki.

W ten sposób sieją pisma socyalistyczne nienawiść w sercach robotników do innych klas ludzi, i wywołują niezadowolenie z obecnego stanu, oraz podbudzają pożądliwość tłumów.

Oprócz gazet pracuje także z powodzeniem tak zwana ulotna prasa. Tysiące broszur socyalistycznych powtarzają jednę i tę samą piosenkę o milionach ludzi wydziedziczonych, których pracą tuczy się nieliczna garstka wybranych, o równych prawach dla wszystkich, o niewoli dla robotnika itp.

Z każdego świstka socyalistycznego wieje nienawiść do Kościoła katolickiego, każdy świstek jest oszczerstwem duchowieństwa.

Jaki owoc musi wydać taki posiew, taka strawa duchowa, mówić nie potrzeba.

Potężnym także środkiem, pomagającym socyalistom, jest p i e n i ą d z. Towarzysze socyalistyczni opodatkowują się dobrowolnie; ze swych tygodniowych zarobków składają pewną część na wspólne cele. W ten sposób gromadzą znaczne sumy potrzebne na wspieranie pism, na wydawnictwo broszur, na podróże płatnych agitatorów, na pensye prowodyrów, na podtrzymywanie bezrobocia.

Z pieniędzy składanych przez towarzyszy utrzymuje się cała falanga agitatorów wędrownych, a niektórzy przywódzcy pobierają wcale pokaźne sumy, które im pozwalają żyć prawdziwie po pańsku, choć nie przeszkadzają piorunować na bogaczy,

Dla przywódzców jest to zawód równie dobry, jak każdy inny, nawet lepszy, bo hojnie opłacany, a wymagający tylko dużo krzykactwa i dużo kłamstwa.

Powszechnem jest mniemanie, że główną przyczyną ruchu socyalno-demokratycznego i jego rozrostu jest nędza wśród robotników.

Nikt nie przeczy, że wśród robotników trafiają się nader częste wypadki nędzy, ale nędza była i będzie zawsze wśród społeczeństwa, wywołana czy to z powodu nieszczęścia, czy własną winą człowieka. Były czasy większej, powszechnej nędzy w Europie np. czasy wojny trzydziestoletniej, a socyalistów nie było.

Jeżeli zaś przypatrzymy się życiu robotnika fabrycznego lub górnika, z których rekrutują się socyaliści, to możemy przyjść do przekonania, że zarobki ich w porównaniu z dochodami niektórych np. niższych urzędników lub nauczycieli ludowych, są większe. więc o powszechnej nędzy wśród robotników mowy być nie może.

Musi przeto być coś innego, co robotników ciągnie do socyalistów, a tem innem jest chęć używania życia w taki sam sposób, w jaki używają go bogaci.

Różnica w sposobie życia robotnika a ludzi zamożnych, bije w oczy na każdym kroku. Wspaniałe pałace wśród uroczych ogrodów są krzyczącem przeciwieństwem ubogiej i wilgotnej izdebki robotnika. Te pałace i odprawiane w nich rauty i bale, rajem wydawać się muszą dla robotnika, któremu nieraz kawałka suchego chleba brakuje.

Porównując więc zbytek w pałacach możnych ze swoją biedą, odczuwa robotnik pomimowoli zazdrość. a jeżeli jeszcze znajdzie się ktoś, kto mu prawi nieustannie, że on ma równe prawo do takiego zbytku i używania, że wszelka własność jest kradzieżą, że zbytki i bogactwa owych szczęśliwców pochodzą z wyzysku pracy robotnika, to musi się w robotniku zrodzić zawiść i pożądliwość i nowy towarzysz socyalistyczny gotowy.

Zresztą i dziwić się nie należy, że klasy pracują-

ce garną się pod sztandar socyalnej demokracyi, skoro u ludzi zamożnych zanika coraz bardziej miłość bliźniego i duch chrześcijański.

Powszechnem jest zapatrywanie, że kto posiada majątek, to może go używać, jak się mu podoba, nie oglądając się wcale na nędzę innych bliźnich.

Tymczasem Ewangelia św. naucza, że bogacze są tylko szafarzami powierzonych im dóbr, że więc powinni wspierać ubogich, i niejako dzielić się z niemi — z biedakami.

O tem atoli przykazaniu ewangelicznem zapomnieli zupełnie bogacze i przylgnęli do swych dóbr całą duszą i sercem, patrząc obojętnem okiem na nędzę bliźnich.

Takie samolubstwo u możnych, taka chęć używania życia i rozkoszy musiała źle oddziałać na klasy niższe i zrodzić w nich podobną chęć używania życia, a że socyalizm właśnie obiecuje im podobne uciechy, jakich używają bogacze, więc tłum biedaków pragnąc owego szczęścia, rzuca się w ramiona socyalnej demokracyi.

Niema więc innego środka na zatamowanie fali socyalistycznej, tylko powrót do nauki Chrystusowej, która każe wspierać ubogich, dopomagać im, a nie wyzyskiwać. Gdyby chrześcijańscy bogacze, pracodawcy, przedsiębiorcy i fabrykanci powrócili do tej nauki, zniknąłby wnet socyalizm.

O dawnych świątyniach chrześcijańskich.

Miejscem, w którem Apostołowie i Uczniowie Chrystusa Pana, po Jego Wniebowstąpieniu zbierali się w Jerozolimie ku chwaleniu Boga, był wieczernik, nieraz wspominany w Dziejach Apostolskich.

Była to sala w wyższej części jednego z domów prywatnych. Tam wspólnie wielbiąc Boga, oczekiwali zesłania Ducha świętego i tam go odebrali, a gdy wkrótce pomnożyła się liczba wierzących, wieczernik ten nie mógł wystarczyć na ich objęcie; wybierano więc inne domy prywatne, podobne pierwszemu wieczernikowi i poświęcano je na przybytki służby Bożej.

Oto takie były pierwsze kościoły chrześcijańskie; szczupłe, ubogie, ukryte, lecz zamożniejsze, niż kiedykolwiek były, w prawdziwych czcicieli Boga. Jedno oni mieli serce, podług świadectwa Pisma św. i jedną duszę, a to samo domyślać się każe, jakie były ich modły, jaka ducha gorącość, jakie cnoty i poświęcenie się Bogu.

Jak w Jerozolimie i w całej ziemi żydowskiej, tak też i w innych krajach świata miał rozkrzewiający się chrystianizm tysiączne przeszkody i trudności do pokonania.

Więzy, ogień, miecze i wszelakiego rodzaju katusze przez pierwsze trzy wieki ciągle prawie zagrażały wyznawcom Chrystusa, a nader często dosięgały ich z największą srogością. Zadziwiać więc nikogo nie powinno, że chrześcijanie znajdując się w takiem położeniu, nie budowali na cześć Boską osobnych i publicznych gmachów; dogodnejszymi dla nich kościołami, były wówczas domy prywatne, a częstokroć nawet pola i pustynie, cmentarze, lochy podziemne, pieczary, i inne tym podobne miejsca, ukryte przed okiem nierzyjaciół.

Nie sprzeciwiało się to wcale czci Boskiej; a mądra roztropność nie dozwalała wystawiać całej trzodki Chrystusowej na rzeź krwi niesytych nieprzyjaciół. Męczennicy zapytywani o Wiarę, ochotnie ją wyznawali, lecz gdy ich badano o miejsca zgromadzeń religijnych, najsroższe męki nie były zdolne wymódz na nich wyjawienia tych miejsc.

Tak się rządzili chrześcijanie osobliwie w pierwszych dwóch wiekach; takie były ich kościoły i zgromadzenia.

W wieku trzecim, chrześcijanie wzrośli liczbą i znaczeniem, nie mieli już tyle obawy odbywania jawnie świętych zgromadzeń. Mamy tego dowód na początku 3-go wieku w przysądzeniu przez cesarza rzymskiego Aleksandra chrześcijanom pewnego domu na cześć Bożą przez nich poświęconego. Lepiej jest — rzek cesarz — »aby Bóg w tym domu odbierał cześć, niż żeby miał być szynkarzom oddany«.

Przy schyłku trzeciego wieku, gdy cesarz Galienus rozkazał przywrócić chrześcijanom wydarte święte miejsca i cmentarze, wówczas chrześcijanie rzucili się z wielką gorliwością do budowania kościołów, a La-

ktancyusz pisze, że dla ozdoby miast wystawiali gmachy wzniosłe i okazałe.

Nie były to już prywatne domy, lecz jedynie na cześć Boską poświęcone; w samym Rzymie było wówczas takich kościołów czterdzieści.

Oto jest krótka historya kościołów chrześcijańskich w pierwszych wiekach aż do panowania cesarza Konstantyna Wielkiego, którego Bóg cudownie powoławszy do Wiary, użył go za narzędzie do obdarzenia Kościoła stałym pokojem.

Odtąd we trzech częściach świata, jak daleko sięgała potęga państwa rzymskiego, wszędzie otrzymała służba Boża przyzwoite świątynie, na których wystawienie i utrzymanie niczego nie szczędzili chrześcijanie, a sam Konstantyn Wielki, nie małe skarby ofiarował. Wystawił on wspaniałe kościoły w Jerozolimie, w Antyochii, w Nikomedyi, w Heliopolu, w Rzymie, w Konstantynopolu i w innych miejscach.

Zewnętrzny kształt dawnych kościołów.

Co do kształtu zewnętrznego dawnych kościołów, to kształt ten nie był jednostajny, jak się to pokazuje na kościołach, które Konstantyn Wielki wystawił. Kościół wystawiony przez niego na grobie Chrystusa Pana był okrągły, kościół w Antyochii był ośmioboczny, kościół św. Apostołów w Konstantynopolu miał formę krzyża, a na dolinie Mambre w Palestynie był czworoboczny.

Powszechniej atoli budowano już w tenczas i później kościoły podłużne, jako stosowniejsze do świętych obrzędów i dogodniejsze do uporządkowania i pomieszczenia w nich ludu.

Autor księgi zwanej: Konstytucye Apostolskie, który żył w czwartym wieku, powiada, że kościoły powinny być podłużne, do okrętów podobne. Dziś również ten kształt jest powszechniejszym.

Początkowo stawiano także kościoły zwrócone ołtarzem na wschód słońca, z powodu, że chrześcijanie modląc się, zwykli byli ku wschodowi się zwracać.

Dla uniknienia przeszkód w nabożeństwie, stawiano kościoły w oddali od domów świeckich, w około zaś otaczano je placami, ogrodami i budowlami kościelnemi.

Przed kościołem zostawiano zazwyczaj plac obszerny, na który wchodziło się przez wielki i okazały przedsionek, zwany »zewnętrznym przedsionkiem«. Plac ten pospolicie otoczony był gankiem, wspierającym się na kolumnach. Ozdabiano go niekiedy fontannami czyli wodotryskami, albo stawiano przynajmniej wielkie naczynie z wodą, aby przychodzący do kościoła, mieli w czem umyć twarz i ręce podług ówczesnego zwyczaju, który przypominał wiernym duchowne obmycie na Chrzcie świętym i był upomnieniem, aby z czystem sercem wchodzili do świątyni Pańskiej; później święcono wodę na tem miejscu.

Przedsionek zewnętrzny, plac między nim a kościołem i ganki, które go otaczały, były właściwem miejscem dla pokutników publicznych, zwanych »płaczącymi« (flentes). Gdy ciała zmarłych pozwolono chować w miastach, nie wolno ich było chować w kościele, lecz na tym placu w przedsionku zewnętrznym, lub pod gankami. Cmentarze koło kościoła są więc zabytkiem starożytności. Owe zewnętrzne starożytne przedsionki zastępują dziś tak zwane »kruchty« przed kościołami.

Wewnętrzny rozkład dawnych kościołów.

Kościoły w dawnych wiekach były budowane tak. że dzieliły się na trzy części.

1) Pierwszą część stanowił przedsionek wewnętrzny; był on objęty murem kościoła. Dzisiejsze wewnętrzne kruchty pod chórem, mają z nim małe podobieństwo.

W przedsionku »wewnętrznym« mieli miejsce katechumeni i pokutnicy drugiego stopnia zwani »słuchającymi (audientes). Wolno w nim było znajdować się także żydom, poganom, kacerzom, odszczepieńcom i słuchać Pisma św. i nauki głoszonej z ambony. Tu także odprawiano suplikacye i nocne wigilie; tu stawiano ciała umarłych w czasie odprawiania za nich modłów, tu wreszcie siedzieli ubodzy proszący wychodzących o jałmużnę.

2) Drugą częścią Kościoła była »nawa«, obejmująca przestrzeń od przedsionka do presbiteryum. Nawa podzielona była na trzy nawy, tj. na środkową i dwie poboczne; środkowa nawa była oddzielona od

pobocznych, ścianą albo balustradą. Prawa nawa przeznaczona była dla niewiast, a lewa dla mężczyzn; do każdej były osobne drzwi z przedsionka. Mnisi i panny Bogu poświęcone mieli miejsce bliżej ołtarza; pokutnicy trzeciego stopnia zwani »leżący« (substrati) i czwartego stopnia, zwani »stojący« (consistentes) mieli miejsce ostatnie, czyli bliższe przedsionku. Zwykle te oddziały przegradzano ścianami lub balustradą.

Drzwi prowadzące z przedsionka do nawy po stronie męskiej powierzone były opiece kleryków-odźwiernych (ostiarii), a na stronie niewiast: dyakonissom. Bywały także na każdej stronie nawy kaplice poboczne, chóry czyli loże, lecz te ostatnie służyły dla samych tylko niewiast.

Sam środek nawy nie bywał zajęty przez lud; samym tu tylko pielgrzymom, i to przy drzwiach pozwolono stawać.

W pośrodku tej nawy była ambona, czyli miejsce wyższe, na które ze dwóch stron prowadziły schody. Tu czytano Pismo święte, Ewangelie, Epistoły, tu je objaśniano; ztąd miewano nauki, kazania, ztąd głoszono imiona osób zapisane w diptychach *). Epistoły i Ewangelie śpiewano na ambonie, graduał na jej schodach. Biskupi zwykli byli mówić z tronu swego do ludu, lecz gdy chcieli być lepiej słyszani, mówili z ambony.

3) Trzecia część kościoła, zwana »świątynią» (sanctuarium) dziś zwana »p r e s b i t e r y u m«, albo chórem, odgrodzoną była od nawy kościoła ścianą albo kratą pięknie ozdobioną. W tej ścianie lub kracie były drzwi czyli wrota do nawy, które w czasie nabożeństwa zasłaniano bogatym haftowanym w złoto welonem.

Kleryk odźwierny wtenczas te wrota odsłaniał, gdy kapłani lub dyakoni nieśli wiernym Komunię świętą. Ta część kościoła służyła tylko samemu duchowieństwu, dla ludu zaś była niedostępną. W tej części stał ołtarz, a za nim było miejsce dla kapłanów, węższe nieco od nawy kościoła i zaokrąglone w półkole.

Wokoło przy ścianach mieli swoje siedzenia kapłani a w pośród nich, w samym końcu świątyni, było siedzenie (tron) dla Biskupa, wyższe od kapłańskiego.

---

*) „D i p t y c h y“ były to karty z pergaminu, zwijane w trąbkę, na których wypisywano imiona osób żyjących i umartych, za których modlono się w czasie Mszy św,

Ołtarz był otoczony kratkami, a oprócz kapłanów i dyakonów nikt nie miał do niego przystępu.

Przy presbyteryum były także miejsca na skład rzeczy świętych i zbieranie się duchowieństwa. Takich miejsc było nieraz i dwa, a nazywano je: secretarium, diaconicum, lub decanicum. Wypadało to na dzisiejszą zakrystyę i skarbiec.

W wieku jedenastym zaczęto zaniedbywać rozłączania wiernych na dwie strony, ustawały także publiczne pokuty i chrzest dawany uroczyście dwa razy w roku katechumenom, więc też i rozkład wewnętrzny kościołów począł się zmieniać.

Wiele jednakże zabytków starożytnego urządzenia i w dzisiejszych kościołach zdybać możemy. Jest kruchta wewnętrzna, są nawy kościoła, jest presbiteryum, albo przynajmniej kratki koło wielkiego ołtarza, jest zakrystya i skarbiec. Lud także w wielu jeszcze kościołach na dwie strony się dzieli.

O ozdobach dawnych kościołów napiszemy w jednym z następnych numerów.

SREBRNY BOCHENEK CHLEBA.

Na ołtarzu wisi ogromny krucyfiks na srebrnem tle. Rzeźbiarz wycyzelował ze srebra chmury, twarz księżycową w kształcie sierpa, tarczę słoneczną z patrzącemi na Mękę Jezusa oczami, domy, wieże i budynki Jerozolimy. Chrystus ma na głowie ogromną, cierniową koronę, przez szyję zaś Ukrzyżowanego zwiesza się łańcuch złoty, na którym wisi wielkie metalowe serce. U nóg Chrystusowych i rąk, na krzyżu całym i srebrnych chmurach, na płaszczyźnie nawet ołtarza przybito i pozawieszano niezmierną ilość srebrnych, złotych i cynowych wotów. Pokrył czas pyłem barwne wstążki, na których wota wiszą, wypłowiały one ze starości i od promieni słonecznych, padających przez barwne okno na postać Chrystusa. Przecież, gdy słonko na ołtarz zajrzy, błyszczy wśród starych wotów jaskrawym blaskiem rubin, iskrzy się topaz, a cała postać Jezusa w srebrach, w złocie i w drogich kamieniach zdaje się jaśnieć ogromną, barwną tęczą, rozpryśniętą w złotych słońca promienach.

Na ołtarzu wiszą srebrne kule, na znak, że cudowny krucyfiks wrócił kalece siłę i moc w nogach. Wisi złote oko, które Pan Jezus patrzące mu przywrócił, od ślepoty go ratując, wisi cynowe dziecko w czepeczku i powijakami skrępowanej poduszce, na znak, że dziecko uratował Bóg od śmierci, na prośbę zrozpaczonych rodziców. Nie mieli snać złota i srebra, nie stać ich było na bogate wotum, więc dla Jezusa z cyny dziecko wyrzeźbić kazali; ubożuchne wotum dla Jego serca bliższe jest może, droższe i więcej kochane od rubinów i szmaragdów, które ołtarz zdobią...

Patrząc na wspaniały marmurowy ołtarz, na bolejącą postać Chrystusa, rozpiętą na krzyżu, na setki wotów, rozwieszonych naokoło, zobaczyłem wśród złota i brylantów srebrną blachę, wyobrażającą bochenek chleba. Najwyraźniejszy bochenek chleba wisi na starej, zakurzonej, zbutwiałej wstążeczce.

Gubiłem się w myślach, co ten bochenek chleba tam, na świętym ołtarzu robić może, skąd on się tam wziął, co ma oznaczać i kto go mógł zawiesić?

Niepodobieństwem było się domyśleć.

Na szczęście zbliżył się do ołtarza »kapliczkowy« górnik. Z szuflady brackiej niósł na ołtarz Jezusa świece, ubrane w jaskrawe, barwne kwiaty, osadzone na mosiężnych podpórkach.

— Mój ojcze, powiedzcie mi, co tam tak błyszczy około tego ogromnego serca?

— To jest srebrny bochenek chleba.

— Cóż on ma oznaczać?

— Pamiątkę cudu Bożego, jakiego doznał pewien górnik.

— Dawno to było?

— O dawno, bardzo dawno. Jak się to działo, Wieliczka i Bochnia patrzały jeszcze do Warszawy, nie do Wiednia.

. . . .

Był to zamożny »kruszak«, właściciel chałupy i gruntu po kilka korcy wysiewu. On i jego żona mieli szczególniejsze nabożeństwo do świętej figury Ukrzyżowanego Chrystusa. Nie było piątku, żeby nie przynieśli na ołtarz Jego dwóch łojowych świec; gdy zaś ziemia obrodziła, barć dużo miodu przyniosła, a krowy były dojne, to i woskowa świeca na ołtarzu się znalazła.

Około domu »kruszka« mieszkał siwy staruszek, którego los nienawistny całe życie prześladował. Majątek rozebrały dzieci i poszły w świat daleki, zarobić nic nie mógł, bo ręce się ze starości trzęsły, na domiar zaś nieszczęścia, piorun uderzył w chałupę, która do szczętu zgorzała,

Na sędziwe lata trzeba było iść chleba prosić, pukać do cudzych chałup i jałmużny żebrać. Gdy jednak starzec coraz bardziej w lata zapadał, nawet żebranina z trudem mu szła, bo sił na włóczęgę nie starczyło, ulitował się nad starcem »kruszak« i rzekł żonie:

— Wiesz co, Bóg nam błogosławi i chleba u nas nie brak. Stary nasz sąsiad nóg już włóczyć nie może, już mu trudno i chleba uprosić. Sypia w oborze w najbliższem naszem sąsiedztwie, naszym też jest obowiązkiem mu dopomódz, bo nędzarzowi dalej iść za chlebem jest ciężko. Dajmy mu codziennie ciepły obiad.

Skrzywiła się kobieta na tę hojność męża, żaląc się, że i tak pracy podołać nie może, że chodzenie koło ludzi, krów i świń siły jej wyczerpuje, że gdy przybędzie jeszcze jedna gęba, to przybędzie z tem i pracy, powiedziała wreszcie, że woli dać staruszkowi codzień »przylepkę chleba«.

Stanęło więc na tem, że starzec miał codzień dostać przlepkę chleba, w piątek zaś, w dzień męki Pana Jezusa cały bochenek.

Biedak przyjął ofiarę ze łzą wdzięczności i codzień rankiem wlókł się po swój chleb do sąsiedniej chaty górniczej.

Jeszcze gwiazda ostatnia nie zgasła na niebie, a zorza zaranna słabym zaledwie świeci się blaskiem, gdy dzwonek na szybie gwareckim odezwał się, wołając górników do pracy. Błysły światła po chałupach, zbiera się wiara, poprawia swe kaganki, dolewa do nich oleju, ostrzy kilofy i żelaza.

Ma już je snać nasz kruszak gotowe, z pierwszem bowiem odezwaniem się dzwonka spieszy do szybu przez puste, bezludne ulice miejskie.

Mgły poranne zasłaniają mokre łąki, błąkają się wśród domów i drewnianych budynków żupnych, perły rosy wiszą na krzakach róż, na białem kwieciu lilii, na żółtych, ogromnych słonecznikach, które do wschodu zwrócone zdają się czekać na wschód gwiazdy zarannej.

Spieszy się górnik, nigdy bowiem idąc do pracy nie zapomni wstąpić do kaplicy i chwilkę małą pomodlić się przed Ukrzyżowanym Zbawicielem, którego kaplicę zawsze przed wschodem słońca otwierają równocześnie z odezwaniem się dzwonka gwareckiego. Ukląkł kruszak przed cudownym obrazem, złożył swe ciężkie żelazne kiłofy na stopniach ołtarza, wpatrzył się w postać Pana Jezusa w ogromnej, srebrnej koronie, wpatrzył się w bolejącą twarz i serce złote wiszące na szyi Zbawiciela. Usta robotnika cicho szeptały modlitwę: »Ojcze nasz, który jesteś w niebie...« Westchnął przy słowach: »Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj«, zakończył modlitwę, wstał szybko, przeżegnał się wodą święconą, która w marmurowej była kropielnicy i pospieszył do szybu.

A dzwonek jeszcze dzwoni i dzwoni.

Schodzi się gromada, szykuje do pochodu, nalewa do »baniek« drewnianych wodę, opatruje worki z chlebem, przygląda się kilofom, czy doś ostre, raz jeszcze szuka w kieszeniach, czy jest w nich krzemień i chuba.

Wreszcie otwarły się wrota szybu, a »kruszacy«, »wozacy«, »świeczni« i »starejsi«, poszli w drabiny.

W długim, jak bezdeń szybie, snuje się ogromny pochód ludzki, podobny do ruchomego węża, do wstęgi posuwającej się w dół, ku przepaściom. A tysiączne serca rozbrzmiewają po »komorach«, »działach« i »piecach« podziemnych, nutą pieśniarza polskiego, co harfę miał złotą i serce złote:

»Kto się w opiekę poda Panu swemu«.

Gromada zeszła na dół.

Jeszcze raz zebrali się wszyscy w »komorze« podszybnej, jeszcze raz odezwały się ostatnie echa pieśni. Poprawiono kagańce i — jako rankiem mrówki opuszczają z iglic usypaną chatę, na wszystkie strony świata się rozchodząc, tak po krużgankach, chodnikach i piecach rozsypało się górnictwo, spiesząc do swej pracy. Kruszacy idą rąbać kruchy, wozacy zwozić sól, »trybarze« pilnować koni, pracujących pod ziemią przy kieratach, kolejach i wózkach. Rozbieżeli się na wszystkie strony żupy, kagańce bledną coraz bardziej i nikną, niknie światło, coraz częściej słychać echa kroków, wreszcie umilkło wszystko.

Ciemno i cicho.

Górnik nasz przyszedł ciasnym »piecem« na swe »działo«, złożył bańkę z wodą i kilofy na ziemi, zrzucił wierzchnie odzienie i przystąpił do pracy. Wetknął kaganiec w otwór kamienny, rozjaśnił jego światło i stanął przed obrabianym dokoła »bałwanem« soli. Na gładkiej ścianie solnej widać prostokąt na wyrąbaną, ogromną bryłę soli, oddzieloną od reszty »calizny« głębokiemi w soli wykutemi rysami. Bałwan ma ze dwa »siągi« długości, półtora »siąga« szerokości, rysy zaś, oddzielające go od reszty ściany, głębokie są od reszty ściany, głębokie na dwa łokcie, może więcej, tak, że straszny ten kompleks solny wisi w powietrzu, tylną tylko ścianą z calizną połączony.

Z boku wyrąbał ogromny otwór, aby sól nie stawała na przeszkodzie rozmachom kilofa, bije też otwór w tylnej ścianie, wierci prostokąt od tyłu, aby bałwan od ściany odsadzić. Otwór jest głęboki, bo cały drąg żelazny w niego wchodzi. Rozszerzył go tylko nieco i roboty zaniechał.

Wziął teraz kika garści prochu, owinął płótnem i papierem, zatknął w środek naboju długi palny sznur i żelazem wetknął proch głęboko za bałwan soli. Przybił nabój kłakami, resztę zaś otworu zasypuje miałką solą »piargiem« żwiru i solonośnych iłów, które »cudząc« piec, zmiatają górnicy go kątów.

Gdy otwór zabitym został, spoczął nieco kruszak, uciął koniec palnego knota, roztrzepał jego konopie, przesycił go miałkiem prochem, a dobywszy z kieszeni huby, stali krzemienia, zwolna ogień krzesać począł. Krzemień dał iskrę jedną i drugą, błysnął wnet snop iskier, a na hubie ukazała się żarząca siatka. Rozdmuchał ją górnik, przytknął do palnego knota... i uciekł daleko.

Słychać syk gorejącego knota... Tli się dalej, coraz dalej, wreszcie...

Ziemia się zatrzęsła, zadrżała calizna skalna, zadudniła podłoga, jakby się świat wali.

Kruszak się przeląkł.

Przyzwyczajony do wybuchu prochu przy odsadzaniu bałwana, poznał zaraz, że coś nadzwyczajnego się stało. Ani proch, ani lecący na ziemię bałwan takiego rumoru nie robią, tak zahuczeć nie są w stanie.

To był grzmot, jakby się ziemia zapadła... Okropne wstrząśnienie zagasiło światło.

Gdy ucichł straszny łoskot toczących się na wszystkie strony kawałków i kruchów solnych, postąpił kruszak ku działu, dobył hubki i krzemienia, aby zaświecić kaganiec.

Zaświecił go wreszcie.

I...

O Matko Boska!

Włosy mu powstały na głowie... Krew się ze strachu w żyłach ścina...

Zawalił się piec, jedyne dojście do działa.

W pierwszej chwili chwyciła kruszaka jakaś niemoc, jakby myśl w głowie zamarła, jakby rozpacz rozumowi kres położyła.

Upadł górnik na bałwan, patrzy na piec który się zapadł, widzi, że jest zamknięty w strasznem więzieniu, w którem umrzeć trzeba, straszną śmiercią z głodu...

Z głodu...

Wnet jednak błysnął promyk nadziei.

Chwycił kruszak kilof i bieży do zawalonego pieca.

Być może, że upadł tylko kawał zwaliska, że można otwór wyrąbać sobie kilofem i wykuć w skale choć taki otwór, jakim człowiek prześlizgnąć się zdoła.

Ale już na pierwszy rzut oka straci tę nadzieję.

Skała »siadła« na ziemi niespękana i cała i niepodobna mieć nadziei, żeby tylko kawał upadł... Zna kruszak doskonale piec i wie, że cała jego powała składa się z ogromnej, skalnej calizny, że kikadziesiąt siągów trzebaby kopać, żeby się dobić wyjścia, żeby sobie utorować drogę.

Nie ma nadziei ocalenia ani ratunku, a jednak rąbie kilofem i rąbie.

Skała wydaje głuchy i tępy odgłos, znak, że to nieprzebyty samoród, który odgrodził go od świata, od życia, od ludzi... na zawsze. Bo kilkunastu ludzi chyba byłoby potrzeba, żeby ten ogrom rozbić, żeby nowy piec wyrąbać... On jeden mógłby to zrobić za jakie trzy, cztery miesiące lub pół roku... cóż on jednak jeść będzie?

Rąbie kilofem, wali w skałę jedną godzinę i drugą.

Wreszcie opadły siły... Rękami ruszać nie może.

Siadł na kruchu, ukrył dłonie ręce i zapłakał rzewnemi łzami.

— Umrzeć trzeba, umrzeć....

Siedział tak godzinę, dwie... Bóg wie jak długo.

W torbie ma niewielką kromkę chleba... oto zwyczajnie taką, jakiej trzeba na przedobiedni posiłek, żeby się do obiadu jeść nie chciało, do obiadu z żoną... z dziećmi...

I jako zawsze tak bywa, że natura ludzka najbardziej tego pragnie, czego brak, czego jej nie dostaje, tak robotnikowi naszemu przyszedł na myśl chleb, uczuł głód... jeść mu się zachciało.

Odwiązał torbę i jeść począł. W kilka chwil zjadł chleb...

Niewiedzieć jak się to stało, że zmęczony płaczem, znużony pracą, zasnął. Może los zlitował się nad nim, aby ulżyć rozpaczy, ukoić łzy...

. . . .

Gdy się obudził, przyszła wraz z przytomnością rozpacz na nowo.

Kaganek dogorywał resztką światła. Na dnie jego nie było nic już oleju, blacha tylko miedziana szkliła się od dawnej tłustości. Knot sechł w oczach, palił się światem słabem, roznosząc po piecu zaduch i dym kopcący.

Zatrzeszczał płomyk kilka razy i zgasł...

Ciemo, okropne ciemno...

Są tam wprawdzie kawałki drzewa i wióry, jest trochę kłaków i strzęp papieru; skrzesać jednak ognia i to zapalić byłoby to samo, co udusić się w dymie, co zamrzeć z czadu...

Siedzi kruszak w ciemności i krwawemi łzami się zalewa.

Jeść się chce, o! jeść...

Napił się raz i drugi wody z bańki...

Orzeźwiał nieco.

Zaczął liczyć, jak długo on tam siedzi, zasypany i od świata odcięty. Olej kagańca wystarcza na półtora dnia; pięć godzin będzie temu, jak zagasł kaganek, zatem dziś tam na świecie jest piątek.

Głód do szaleństwa kruszaka doprowadza...

Rozum się miesza. Szalone myśli po głowie się plączą.

Gdyby podpalić złożone tam drzewo, udusić się w dymie... kilofem głowę sobie rozwalić...

W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen! Idź precz szatanie! Precz z takiemi myślami! Ratuj mię Matko Boska! Jeśli taka wola Boża, umrę tu z gło-

du, a nie odbiorę sobie życia, któregom sobie nie dał, które jest własnością Boga.

Zaczął rzewnie rozmyślać.

— Tam na świecie ludzie się śmieją, bawią i chwalą Boga Żywiciela. Dziad, który dziś w dom mój przyjdzie, dostanie bochenek chleba, a ja...

Głód! Głód!

Biedak ledwie duszy nie wypłacze. Po gołych spracowanych rękach płyną łzy krwawe...

— A przecież to stać się nie może. Przecie Bóg jest nademną. Ten, w którym wszystką mą wiarę złożyłem, który jest nadzieją moją wszystką...

Modliłem się do Ciebie Wszechmogący Boże, a Ty nie opuścisz mię w straszliwej godzinie. Tyś powiedział, że jeśli Tobie zaufałem, to będę bezpiecznie po żmijach gniewliwych chodził i deptał po padalcach. Wszak Twoje to są słowa:

Niech pewien będzie...
Pewien i zacności...
I lat sędziwych
I mej życzliwości.

Ciebie wołam na pomoc! Ciebie ukrzyżowany, cudowny wizerunku Zbawiciela! Ciebie o Jezu!...

Łzy robotnika dwoma strugami z oczu płyną... A głód szarpie wnętrzności... pali trzewia... kąsa...

— Jezu ratuj! Jezu ratuj!! Jezu!!!

. . . .

Co tam?... Światło się miga i chwieje jakby od dalekich błyskawic... Jasność snuje się po ścianie, migoce po caliźnie solnej, iskrzy się w kryształach soli...

Coraz jaśniej...

Matko Boska!!

Sto słońc na ścianie »działa« się pali, miliardy gwiazd jakaś moc straszna na caliźnie zapaliła. Piorun tak oczu nieoślepi, jak oślepiają blaski oczy kruszka...

Wśród słońc i gwiazd milionów wiednieje ciemny posąg Chrystusa na krzyżu. Na głowie Jego ogromna srebrna korona, na piersiach złote serce kochające... to serce...

Prawa ręka Ukrzyżowanego odrywa się od drzewa krzyża, wyciąga Ją Jezus ku kruszakowi...

Przyskoczył górnik...

— O Jezu!!!

W rękach robotnika, jest bochenek chleba.

— Jedz...

Padł górnik na twarz i zmysły stracił.

. . . .

Jak długo leżał, sam zgadnąć nie mógł. Gdy się obudził było ciemno.

Trzymając chleb w rękach, dobył żelaza, krzemienia i krzesał ognia. Zapalił wiór sosnowy.

— Chleb, Chleb!

Pamiętał przecie kruszak, że ze świętych rąk otrzymał bochenek chleba i nietyle to go już dziwi...

— Na Boga żywego! Przecież to nasz domowy bochen. Ta sama forma kosza, ten sam, na wierzchu wypisany znak krzyża świętego.

Wszak to bochen z naszego pieca, to żona moja tak chleb znaczy.

Nie myślał wiele i począł jeść żarłocznie. Targał chleb kawałkami i jadł zgłodniały. Domowy jego pszeniczny chleb, tylko jak miód słodki, jakby z tartych migdałów i owoców zamorskich pieczony, jakby przaśnym miodem przepojony...

Zjadł kruszak bochenek i zmorzył go sen twardy.

Kilka dni minęło, a górnik jak siedział na zapadłem dziale, tak siedzi.

Ale już nie rozpacza, a jeśli z oczu jego płyną, to łzy szczęścia, ufności, wiary nadziei.

Codzień Jezus Cudowny przylepkę chleba mu przynosi, codzień syty jest i zdrowy. A ręka Boska nawet wodę w bańce rozmnożyła, bo górnik pije, a wody nie ubywa. Ciągle wystarcza tej zimnej, źródlanej krynicznej wody.

Wyrachował już od pierwszego świętego zjawiska dni siedm i żywemi łzami szczęścia zapłakał, że w drugi piątek dostał nie przylepkę, lecz cały bochen chleba.

— Zatem ty Jezu dajesz mi to, co ubogi w mym dostaje domu. Zatem prawdą jest, że co człowiek da ubogiemu, daje samemu sobie! O, daj mi Boże pójść między ludzi i rozgłosić Twoje święte cuda!

I naprawdę słuszność miał górnik, że grosz dany ubogiemu nie przepada, że wspomagając biednego, daje się samemu sobie, że obcierając biedocie łzy, sam sobie je obcierasz...

A ludzie nie chcą poznać potęgi tej prawdy...

. . . .

Cicho.

Czy górnika słuch myli? Czy własne oszukują go uszy? Wszak to zagrzmiało coś zdala?...

Znowu ucichło i znowu skałami zatrząsł huk daleki, jakby echo piorunu, jakby gdzieś zdaleka działa Jego Królewskiej Mości waliły...

Strzelają skały! Ratują mnie! Kopią się do mnie!.. Rąbią caliznę.

Nabój za nabojem wali, aż drżą ściany.

O!

Kilofy robią! Kilofy pracują! Coraz bliżej, jeszcze bliżej...

Już przez ścianę słychać...

I jak młockarze w pięciu młócą, a uderzenie za uderzeniem ze stodoły słychać, tak gęsto i ostro pracują żelaza, żeby mię uwolnić, żeby mi życie ocalić. Pilno braciom mym górnikom, pilno...

Pprwał kruszak za kilof i całą mocą rypie ścianę.

Nie ubyło mu sił ani krzty.

Coraz cieńsza warstwa soli ich przegradza, coraz słabsza...

Światło błyska, złoty snop promieni w czarną czeluść wpada...

— Szczęść Boże! — wrzasnął górnik.

— Daj Panie Boże — odpowiedziało kilkadziesiąt głosów...

Przez otwór w caliźnie wydobyto kruszaka w piec otwarty. Była tam brać górnicza, był sam pan »warcabnik« wraz z żupnikiem. Nieśli dla kruszaka stare wino...

. . . .

Żona górnika, jego dzieci i dziaduś siwy klęczą przed cudownym wizerunkiem Chrystusa, dziękując Jezusowi za ocalenie męża, ojca, żywiciela...

Kruszak leży krzyżem przed stopniami ołtarza, płacząc.

A ksiądz pleban przytwierdza do ram ołtarza wotum, wyobrażające — srebrny bochenek chleba.

Ludwik Stasiak.

Szczególny starożytny zwyczaj w Polsce.

Był za dawnych czasów zwyczaj w Polsce, przez niektóre magistraty miejskie tolerowany, iż jeżeli jaki hultaj bezżenny, wyprowadzony na karę śmierci, poruszył serce której z patrzących dziewczyn, i ta mu swój rańtuch rzuciła na głowę, przebaczano zbrodnię i zaraz do ślubu tę parę wiedziono.

Nie mieliśmy wszakże na ten szczególny zwyczaj długo żadnych piśmiennych dowodów. Dopiero przed kilkudziesięciu laty jeden z uczonych badaczy naszych, pomiędzy rękopismami udzielonemi sobie od Karola hr. Krasińskiego, odkrył ciekawy list Józefa Lipskiego z r. 1769, pisany do Krasińskiego, oboźnego wielkiego koronnego, w ktorym znajdujemy wyraźny dowód, iż wtedy jeszcze, to jest w pięć lat po wstąpieniu na tron Stanisława Augusta, zachowywano dawny zwyczaj, jakkolwiek żadnem prawem nieuświęcony. List ten brzmi jak następuje:

Jaśnie Wielmożny Panie!

»Gdy nieboszczyk Marcin Sobe.... brat żony mojéj, od pracowitego Bartłomieja Chwałę z Zofią Sobe...., bratową mą okrutnie zamęczony został, takowych zabójców schwytawszy, odesłałem do sądu miejskiego krasnostawskiego w roku przeszłym (1768 r.). Takowych winowajców trzymałem w areszcie miejskim niedziel jedenaście, wikt dla nich opatrywałem, straży pilnującej płaciłem, proces kryminalny z niemi wiodłem, wykonywacza sprawiedliwości sprowadziłem, na trunki sędziom miejskim niemało ekspensować musiałem, tak, żem na tę sprawę blizko tysiąca złotych ekspensował.

»W sprawie takowej doczekałem się dekretu dwunastego tygodnia: odesłano urodzoną Sobe...., jako szlachciankę, do grodu, obwinionego zaś Bartosza skazano na śmierć.

»Lecz gdy przyszedł termin egzekucyi, idącego już na plac dziéwka jakaś chustką zarzuciła. Po którym bezprawnym postępku zamiast egzekucyi dekretowi, poprowadzono go z halabardami cechy do ko-

ścioła i tam go księżom oddano, a mnie ze szczętem zniszczonemu, żadnej satysfakcyi nie uczyniono.

»Tak wielkiej krzywdy chciałbym poszukiwać na mieście Krasnostawie, a żem człowiek zniszczony, przeto supplikuję jaśnie wielmożnego pana o zarekomendowanie mnie j. w. podkanclerzowi koronnemu, aby mi patron miserabilium w tej sprawie był przydany, tudzież o opatrzenie mnie chudego pachołka«.

Rzecz godna uwagi, że zwyczaj ten powstał i utrzymywał się tak długo jedynie na Rusi polskiej. Żadnego śladu jego niema w innych stronach starożytnej Polski, gdzie tylko czyste narzecze polskie istnieje.

U górali ruskich huculów, zamieszkujących Karpaty, zwyczaj ten dotrwał w żywej pamięci. Wiadomo że długo z tych górali zawiązywał się bandy opryszków, którzy trwogą napełniali wszystkie drogi i przesmyki górskie. Każdy schwytany opryszek, podług prawa doraźnego, kończył śmiercią na szubienicy.

W roku 1828 trzech opryszków w cyrkule kołomyjskim tracono: dwom parobkom dorodnym hucułki zarzuciły swe rańtuchy na głowy, ale ich od kary nie zasłoniły. W r. 1832 tracono opryszków schwytanych. Jeden młody dwudziestoletni hucuł szedł z taką obojętnością na miejsce kary, że fajki z ust nie wypuścił. Z tłumu ciekawych zanim stanął pod szubienicą, wybiegła hoża góralka, zarzuciła mu swój rańtuch na głowę i objęła rękami. Była to jego lubaszka: myślała że tym sposobem, jak jej starcy opowiadali, uratuje narzeczonego; ale daremnie, bo wkrótce ujrzała go na szubienicy. *K. Wł. W.*

Krótka historya

cudownego obrazu P. Jezusa Miłosiernego

w kościele św. Kazimierza (OO. Reformatów) w Krakowie.

Za staraniem O. Zygmunta Janickiego, gwardyana klasztoru OO. Reformatów w Krakowie, i ze składek pobożnych chrześcijan, dobudowano w roku zeszłym 1901 do kościoła OO. Reformatów piękną kaplicę, w której dnia 13 grudnia tegoż roku umieszczono cudowny obraz Pana Jezusa Miłosiernego, znaj-

dujący się dotąd w małej kapliczce na krużgankach klasztornych.

Za lat kilka upłyną dwa wieki odkąd obraz ten słynie cudami. Kroniki klasztorne tak opisują jego historyę:



Cudowny Miłosierny P, Jezus w kościele Braci Mniejszych (OO. Reformatów w Krakowie).

»W Imię pańskie! Działo się w konwencie naszym krakowskim u św. Kazimierza roku Pańskiego 1711 dnia 27 marca. Gdy O. Antoni Węgrzynowicz prowincyał, po ustąpieniu morowego powietrza z miasta Krakowa, pierwszy raz ze swego urzędowania przybył do wspomnionego konwentu — przekonał się, iż za prawdziwą łaską Pana Boga, lubo w roku zeszłym, uzupełniane klasztory obojej płci po niedawnej śmiertelności, znowu uległy zarazie powietrznej, ten jednak konwent nie był dotknięty zarazą.

Przyznawano to, szczególnemu nabożeństwu do P. Jezusa, do którego zakonnicy dwa razy dziennie odmawiali Litanię o imieniu Jezus, przed obrazem w małym ołtarzu na górnym krużganku przedstawiającym Chrystusa bolejącego i współbolejącą Najśw. Matkę Jego; tudzież modlących się: św. Franciszka

Serafickiego po prawej, po lewej zaś stronie św. Jana Kantego.

Obraz ten był wymalowazy od pewnego obywatela, kosztem profesora tutejszej akademii, a dla obudzenia nabożeństwa przechodzących, był umieszczony pierwotnie przed dawnym kościołem, który przed pierwszą wojną szwedzką był na przedmieściu zwanem: na Garbarach; który to obraz młodzież akademicka i pobożni profesorowie, przechodząc na szkolne wykłady z nabożeństwem odwiedzali.

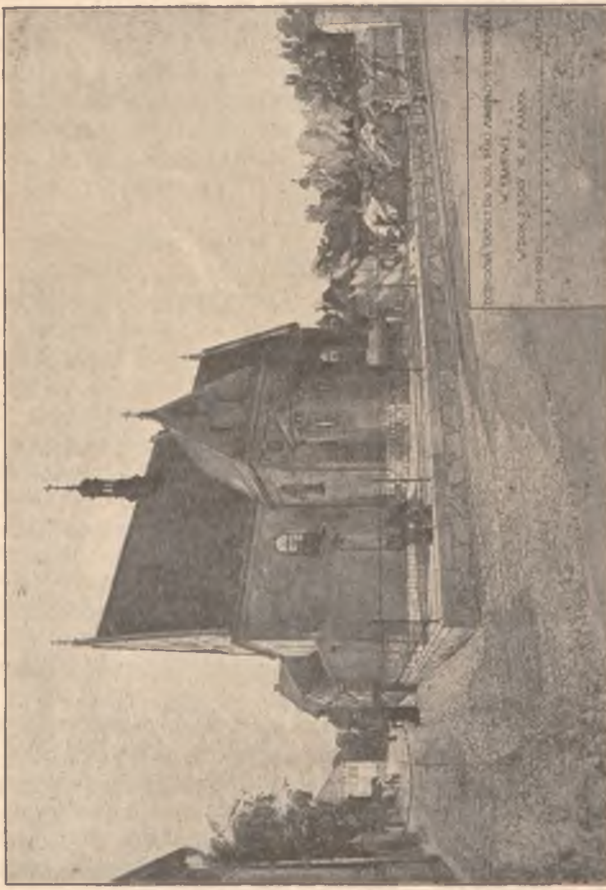
Po zburzeniu kościoła i klasztoru, rzeczony obraz z wielu innymi, przeniesiono do nowego konwentu w mieście i dla nabożeństwa umieszczono na górnym krużganku, jak jest do dziś dnia. Tu pobożni zakonnicy zwykli odprawiać swoje modlitwy i tu na widok tego obrazu, doświadczali większego ducha pobożności.

Co wszystko zważywszy O. prowincyał, a mianowicie mając wiadomość, iż między zakonnikami obiegają wieści, o szczególnem zjawieniu w czasie pierwszego pomoru, które się okazało O. Jakóbowi Mikowskiemu, podówczas w tymże konwencie spowiednikowi, a obecnie wikaremu; oraz że to zjawienie dało pobudkę mieszkańcom Krakowa do modlitw gorących przed tym obrazem; aby więc pamięć tych spraw nadzwyczajnych, które dobroć Boska okazać raczyła nad ubogim konwentem, z większą wiarogodnością do potomości przechowaną była; wezwał wspomnionego O. Jakóba, a po ustnem wybadaniu, nakazał w zasługę posłuszeństwa, żeby to wszystko pod przysięgą wiarogodną, mnie zaprzysiężonemu sekretarzowi i notaryuszowi podał.

Wskutek tego dnia 27 marca w r. 1711, O. Jakób wielokrotnie przedtem w różnych konwentach kaznodzieja a teraz wikary konwentu krakowskiego, lat 57 mający, zakonności zaś 34 liczący; przyszedł do celi sekretarskiej i mnie podpisanemu podał do umieszczenia w aktach prowincyi »Pamiętnik« osnowy następującej:

Ja brat Jakób Mikowski, pod przysięgą wiarogodną i słowem kapłańskiem to twierdzę i uznaję, co się wydarzyło w konwencie krakowskim, gdy morowem powietrzem dziesięciu zakonników wymarło, to jest: O. Joachim Stanzel gwardyan, O. Bonawentura Proszkowicz exprowincyał, O. Antoni Dębski spowiednik,

O. Martynian Czulski spowiednik, O. Augustyn Gruszczyński spowiednik; tudzież Bracia: Symeon Miętuszkowski, Dekorozy Kosowski i Dydak Duński laicy i jeden służący.



Widok kościoła św. Kazimierza (OO. Reformatów) wraz z nową kaplicą cudownego obrazu Pana Jezusa.

A najprzód dnia 24 listopada 1707 roku, pogrzebawszy wspomnionych zakonników w ogrodzie, który ś. p. O. gwardyan, przeczuwając bliską śmierć dla siebie i drugich, przy pochowaniu pierwszego zakonnika na cmentarz poświęcił — i gdy tylko powstałem z braciszkiem Tyburcym Mysłowskim już zapowietrzonym i z czterema ludźmi świeckimi, z których jeden, to jest:

Michał posługacz apteki, spoczywał ze mną w izbie gościnnej (forasteryi) na dolnym krużganku. Aż oto po północy, stanęła osoba w habicie naszym, ja wtedy rozespany, z bojaźni zawołałem na owego Michała, a powstawszy z łóżka, usłyszałem głos po trzykroć mówiący te słowa: »Jeszcze nie koniec!« potem mnie zapytano: »A ty, czy jesteś gotów?« lecz ja zatrwożony nie pamiętam, com odpowiedział — i w tem widzenie zniknęło. Rano upomniałem wszystkich czterech świeckich, aby się przez spowiedź świętą przygotowali do śmierci, co gdy uczynili, wkrótce z nich dwóch umarło, dwóch zaś pozostało przy mnie i braciszek Tyburcy jeszcze cierpiący.

Powtóre: dnia 13 grudnia tegoż roku, kiedy z braciszkiem Tyburcym przychodzącym do zdrowia i z panem Janem Mieszkowskim, który przy skonaniu zakonników bywał obecny, razem spoczywaliśmy w szkółce na górnym krużganku; o północy pokazała się osoba takiej postaci, w jakiej odmalowany jest Pan Jezus w obrazie na tymże krużganku, trzymająca laskę w ręce, a przebudziwszy mię ze snu, kazała mówić Litanię o imieniu Jezus, chciałem mówić, lecz że na pamięć nie umiałem, przetoż ta osoba sama mówiła, ja zaś klęcząc przy łóżku odpowiadałem: »Zmiłuj się nad nami!« Po ukończonej Litanii, usłyszałem trzykrotnie laską w stół uderzenie i głos: »Dosyć! dosyć! dosyć!« poczem osoba zniknęła, ja zas obudziwszy towarzyszów moich, opowiedziałem im widzenie i wszyscy udaliśmy się przed pomieniony obraz i odmówiliśmy Litanię o Imieniu Jezus.

Od tego czasu, do dnia dzisiejszego, gdy zgromadzenie nasze, przed tym obrazem zwykło codziennie wspomnioną odmawiać Litanię, chciaż później dla usług duchownych zapowietrzonym, narażali się zakonnicy na oczywiste niebezpieczeństwa, jednak, jak za pierwszym razem, gdy prawie cały rok morowe powietrze panowało, tak i za drugim, gdy się to odnowiło, żaden w tym konwencie na morową zarazę nie umarł, a nawet znak jej na żadnym się nie pokazał.

To wszystko na uwielbienie Boga, jako prawdziwe, z tąż samą jak wyżej wiarogodnością, rzetelnie zeznaję.

Fr. Jakób Mikowski, Reformat.

Ja zatem Fr. Władysław Sobierajski, notaryusz i sekretarz Przewielebnego O. prowincyała, podane mi powyższe pismo, do aktów oryginalnych prowincyalskich dołączam, kopią zaś jego, jako wiernie odpisaną i z tym oryginałem zgodną, powagą na ten cel udzieloną potwierdzam i zaświadczam dnia i roku jak wyżej.

Fr. Władysław Sobierayjski, mpp.
L. S.

Dla większej wiarogodności, na powyższem piśmie, kazaliśmy pięczęć urzędu naszego wycisnąć i własną ręką podpisaliśmy.

Fr. Antoni Węgrzynowicz, prowincyał.

Rok rocznie w dniu 13 grudnia w kościele św. Kazimierza w Krakowie, przed cudownym Pana Jezusa obrazem odprawia się uroczyste nabożeństwo jako podziękowanie za objawienie się Pana Jezusa w tym obrazie, oraz za uchronienie mieszkańców Krakowa i okolicy od morowej zarazy. Archiwum zaś klasztorne wspomina o licznych cudownych uleczeniach, jakie otrzymały osoby udające się z żywą wiarą do tego miłosiernego Pana Jezusa i Matki Jego bolesnej.

Dziatwa głogowska.

Jestże słynniejsze orężem imię w Polsce od imienia Bolesława? Kiedy kraj nasz, wyłoniwszy się z ciemnoty pogańskiej, odświeżony wodą niedawnego chrztu, zajaśniał na widowni dziejowej wschodniej Europy wówczas to trzej królowie tegoż imienia, w krótkich po sobie panujący odstępach, dzielnym mieczem roznosili jego sławę naokół i rozszerzali jego granice.

Trzeci imienia tego król, godny następca wielkich swoich dziadów, już w bardzo młodocianym wieku przeciw nieprzyjaciołom kraju się wyprawiał, a kiedy mu przyszło po śmierci ojca samemu objąć rządy, nie zawiódł nadziei, jakie młodość jego rokowała.

Miał on brata starszego Zbigniewa, któremu ojciec

przed śmiercią kawał ziemi wyznaczył. Zbigniew jednak niespokojnego usposobienia, nie był z tego podziału zadowolonym; ciągle przeciw bratu wichrzył, a nawet obcych nieprzyjaciół przeciw jemu podburzał. Brakło wreszcie Bolesławowi cierpliwości i złożywszy radę, skazał Zbigniewa na wygnanie z kraju. Zbigniew rozzłoszczony srodze, udał się do cesarza niemieckiego Henryka V., największego wówczas wroga Polski, i od niego żądał pomocy przeciw bratu.

Skorzystał z tego chciwy podboju cesarz, i z ogromnem wojskiem wkroczył do prowincyi polskiej, zwanej Śląskiem. Już kilka miast i część kraju uległa przemocy; wreszcie podstąpił cesarz pod miasto Głogów i zażądał poddania się onego.

Miasto znajdowało się w bardzo trudnem położeniu: z jednej strony dochować chciało wierności swemu królowi, z drugiej strony obrona była prawie niepodobną, bo mury i baszty Głogowa, oddawna nienaprawiane, leżały prawie w gruzach. Mieszczanie z żalem wysłali poselstwo do cesarza z prośbą, aby im użyczył pięć dni do namysłu: jeżeli w tym czasie od króla Bolesława pomocy nie otrzymają, w takim razie miasto poddadzą.

Cesarz pewny siebie, chętnie na to przystał; zażądał jednak jako zakład, że mieszczanie przyrzeczenia dotrzymają, aby mu posłano do obozu dzieci najznakomitszych rodzin głogowskich. Choć z ciężkiem sercem, wydali ojcowie haracz krwi własnej, chciwemu zdobyczy wrogowi.

Równocześnie z tamtem poselstem wysłano i drugie do Bolesława o corychlejszą pomoc. Król pomoc w krótkim czasie przyrzekał do obrony grodu. Głogowianie powziąwszy o tem od posłów wiadomość, skorzystali z pozostających im jeszcze kilku dni do terminu przez Henryka wyznaczonego i dzień i noc pracując, ponaprawiali walące się mury i baszty. Kiedy wreszcie piąty dzień upłynął i miasto poddać się nie chciało, nakazał cesarz ogólny szturm do niego przypuścić, chcąc za pierwszem natarciem miasto u swych stóp widzieć.

Nadzieje go jednak zawiodły. Głogowianie odparli pierwszy atak zwycięsko i to z wielką stratą Niemców. Dumny a okrutny cesarz, postanowił zuchwałe miasto srogo ukarać i nakazał drugi szturm.

Niemcy zaczęli posuwać ku miastu ogromne machiny i wieże, zapomocą których mury miasta rozbijano. Dzielni obrońcy Głogowa, stali już na murach z przygotowanymi ogromnymi kamieniami do gruchotania machin i z nanieconymi do palenia tychże — żagwiami.

Lecz jakież było ich przerażenie, kiedy zobaczyli na tych machinach poprzywiązywane własne swe dzieci; byli to owi chłopcy od lat 8 do 14, których Henryk jako zakładników z miasta wydać sobie kazał. Tego to fortelu użył okrutny cesarz, aby nieszczęśliwych Głogowian zmusić do poddania się; spodziewał się bowiem, że nie ośmielą się oni rzucać pocisków na własne swe dziatki. Ale jednak i tym razem miał się zawieść. Wprawdzie na tak okropny widok zachwiali się Głogowianie: lecz nie było czasu namysłu, machiny stały blisko murów. Wtedy to kasztelan głogowski, przywódca obrońców miasta, pierwszy dał przykład poświęcenia się dla kraju. Na jednej z najbliższych nieprzyjacielskich wież zobaczył syna swego do niej przywiązanego; porwał ciężki kamień i rzucił ku niej, syn jego otrzymał cios śmiertelny, ale machina mocno uszkodzona, nie mogła się dalej posuwać.

W ślad za tym przykładem zaczęto na nieprzyjacielskie machiny rzucać kamieniami i ostro zakończonymi palami, a wdarpujących się na mury Niemców strącano dzidami, i oblewano gorącą smołą i wodą. W krótkim czasie fosy naokół miasta ciągnące się, zasiane były trupami, a nieprzyjaciel musiał ze wstydem ustąpić.

Wszystkie dzieci zginęły — ale miasto zostało ocalone... Wkrótce za to okrucieństwo spadła na Henryka zasłużona kara. Nieopodal od Wrocławia, cesarz poniósł od wojsk króla Bolesława taką klęskę, że sam zaledwie z życiem uszedł, a krew Niemców na polach psy łapczywie chłeptały. Ztąd pobojowisko owo do dziś dnia zwie się »Psiem polem«.

Nowy Rok w Szwajcaryi.

Piękny to kraj Szwajcarya. W różnych kierunkach przerzynają ją góry, pasma Alp, tak wysokie, że często płynące po niebie obłoki rozdzierają się o ich wiecznym śniegiem pokryte szczyty.

Na stokach gór, poniżej linii śniegów, widnieją lasy zielone, a niżej jeszcze jak jaskółcze gniazda, do skał przyczepione malownicze domki, nawet wioski całe, — czyste, schludne, urocze na tem tle zielonych wiecznie drzew, wśród starannie utrzymywanych ogrodów i winnic.

U stóp, po równinach, wiją się wartkie rzeki i rozścielają jeziora, co choć toń mają głęboką, tak są przeźroczyste, że na dnie ich można dojrzeć każdą muszlę, każdą żerującą rybę, każdego ślimaka. A wody te dziwną mają własność, bo choć tak czyste i takie przeźrocze, błękitne, albo zielonawe są na pozór. Rzekłbyś, że dobroczynna ręka Stwórcy lazuru w nie nalała, bo chociaż niebo się zachmurzy i wicher zamąci ich spokojną powierzchnię, — błękit ich się nie zmienia; a gdy się fala spiętrzy, pod białym z piany jej grzbietem, widzisz jakby skibę wody błękitnej, jak kryształ czystej.

Mieszkańcy tego uroczego kraju są pracowici i przemyślni. Nie dokucza im też bieda: niema tu żebraków, niema ludzi bez chleba, niema ludzi bezczynnych; każdy pracę znajdzie i umie ją uszanować. A gdy nadejdzie święto, umieją Szwajcarzy zabawić się wesoło i po dłuższej ciężkiej pracy w gronie przyjaciół i sąsiadów przyjemnie razem czas spędzić. Braterstwo — to hasło życia Szwajcarów; w duszach ich mocno są one snać wyryte, bo nie patrzą tu, ile kto i jaki ma majątek lub jakie tytuły; każdy tu dobry, kto uczciwy! W święta bawią się wszyscy, wspólnie i zwykle pod otwartem niebem, wśród swoich gór, jezior i pól usłanych winnicami.

Do jednych z bardzo uroczyście obchodzonych świąt, zaliczyć tu można obchód spotykania Nowego Roku, i sam dzień noworoczny.

Już od południa ostatniego dnia starego roku przerwane są wszelkie roboty; każdy szykuje się do

powitania nowego, nadchodzącego. Z wiosek ściągają ludzie do pobliskich miast, gdzie wędrowni komedyanci i hecarze przygotowali im mnóstwo rozrywek i uciech. Długim szeregiem na placach poustawiane są karuzele, obracane za pomocą pary i tak szybko kręcą się, że niknie się na nich, niczem w pociągu; huśtawki sztuczne oświetlone, i pełno muzyki, pełno płonących elektrycznych lamp i lampek, pełno kwiatów, pełno gwaru i wesela!.,. Mnóstwo przekupniów sprzedaje po parę centymów wszelakie łakocie i zabawki. I bawią się wszyscy: dorośli, dzieci i starcy, dopóki głos dzwonu nie wezwie ich na nabożeństwo.

Wtedy zbierają się w miejscowym kościele. Wiele osób nie może pomieścić się wewnątrz świątyni i słucha nabożeństwa na placu przed kościołem, gdzie licznie poustawiane kapele i chóry dają im możność śpiewania tego, co śpiewają wewnątrz świątyni.

Z tysiąca piersi wznoszą się hymny dziękczynne do Boga za dobrodziejstwa w upływającym roku zesłane; tysiące serc zanosi błagania o pomyślność na lata następujące. Na około płoną światła, a po środku placu wznosi się, umocowany do ziemi na grubych sznurach, balon duży, wewnątrz oświetlony — z napisem roku, który ma skonać, zniknąć w przeszłości za chwilę.

Gdy bije północ, kończy się ostatnia zwrotka pieśni pobożnej. Dzwony kościelne zaczynają bić jednocześnie. Na placu w kilku miejscach wybuchają ognie sztuczne i rakiety. Sąsiednie domy, drzewa, kościół, ludzie — wszystko w tem świetle tajemniczem i czarownem wygląda, jak jakie zjawisko przepiękne. Jednocześnie przecinają sznury przytwierdzonego do ziemi balonu, i ten, niby przeżyty rok stary, unosi się wolno, cicho, ociężale, a jakby ze smutkiem jakimś, w górę. Od ludzkiego gwaru i wrzawy ulata wolno w gwiaździste przestrzenie niebios, coraz wyżej, wyżej, aż wreszcie ginie w mrokach błękitnego sklepienia. Zebrane tłumy długo przeprowadzają go oczyma wśród radosnych okrzyków: hurra! niech żyje Rok Nowy! A gdy zginie im z oczu, zwracają się wzajemnie do siebie z życzeniami.

Jak jedna rodzina, ściskają się wszyscy: młodzi i starzy, znajomi i nieznajomi, zamożni i wyrobnicy, całują się, jak bracia i winszują sobie nawzajem.

Na drugi dzień całe tłumy, świątecznie ubrane, wylegają znów na ulice, drogi, place. Młodzi przebierają się dziwacznie, nakładają maski psów, kotów i z trąbami, harmonijkami i przeróżną muzyką, w śmiesznych strojach i przebraniach, skaczą, grają, tańczą i bawią się aż do schyłku dnia.

Dodać należy, że zabawy te nigdy nie kończą się smutnie. Nikt nie usłyszy tam kłótni, nie zobaczy pijanych, i nie spotka się nikt z jakąś awanturą. Gwarno, wesoło jest, ale i przyzwoicie.

St. O.

Rozmaitości.

Ważne odkrycie.

Profesor szwedzkiej akademii rolniczej, dr. Ekenberg, dokonał świeżo bardzo ważnego odkrycia: wynalazł on sposób, przy pomocy którego każde mleko zamienić można na proszek, z którego, (po rozpuszczeniu go w wodzie), otrzymuje się znowu mleko.

Próby, zmierzające do zamiany mleka na mączkę, lub proszek mleczny, dokonywane już były dawniej, lecz bezskutecznie. Przyczyną niepowodzenia była ta okoliczność, że proszek nie zupełnie rozpuszczał się w wodzie, nie dawał więc po rozpuszczeniu mleka, posiadającego wszystkie składowe części mleczne.

Proszek, otrzymany przez prof. Ekenberga, posiada wszystkie właściwości mleka: można zeń zbierać śmietankę, robić masło i ser.

Proszek mleczny nie kwaśnieje, nie ulega procesowi warzenia się i konserwować go można w każdej temperaturze.

Wynalazek ten może mieć wielką doniosłość dla eksportu mleka, przy przewozie bowiem proszku mlecznego koszta przewozu zmniejszą się o $^9/_{10}$. Dotychczasowe doświadczenia z nowym wynalazkiem dały dotąd wyniki bardzo zadowalające.

Nowa Drukarnia Jagiellońska w Krakowie (Jagiellońska 10).

Z Nowej Drukarni Jagiellońskiej w Krakowie.